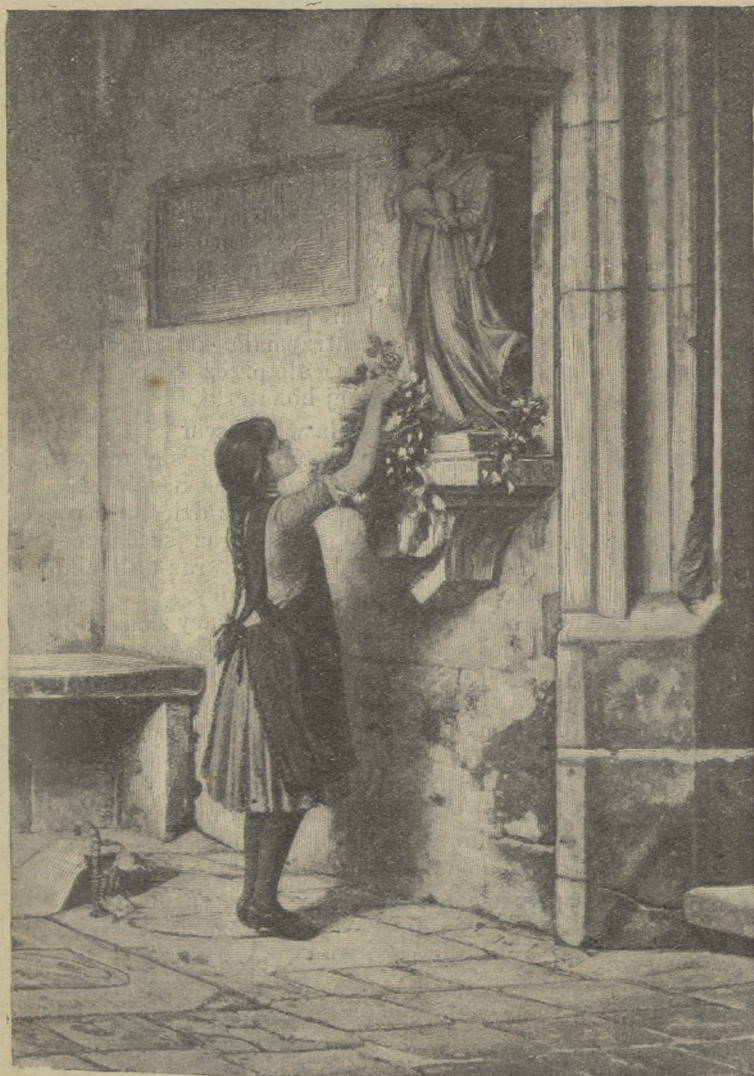


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Równianka.

Otóż i znova zakwita wiosna,
Darząc majowym promieniem słonka,
A pieśń oracza dźwięczna, radosna,
Łączy się razem z piosnką skowronka.

Cichy i wonny powiew wietrzyka
Łagodem tchnieniem trawkę kołysze,
A nuta smętna piewcy—słowika,
Majowej nocy przerywa ciszę.

Pod starą lipą, w dali na błoni,
Strumyk się jasnym pierścieniem wije,
Nad nim fioletek miłuchnej woni,
Bratki i śnieżne kwitną lilije.

* * *

Kiedy po kwiaty biegnę porankiem,
By w nie przystroić ołtarz Maryi,
To tylko takim cieszę się wiankiem,
Który jest splecion z bratków, z lilii.

Kiedy fioletek zdoła go w koło,
Piastując rosy perelkę w łonie,
Wtenczas radosny, nucąc wesoło,
Kornie promienne zdołuję jej skronie.

Mały podarek! . . Lecz mi się zdawa,
Że w skromnej dani wiosenne kwiatki
Przyjmie Królowa Niebios Łaskawa,
Chętnem uczuciem najlepszej Matki.

W. Bełza.

Córki Maryi Leszczyńskiej.

(Kartka z XVIII-ego wieku.)

(Dalszy ciąg)

A jakie to były nauki! Dość powiedzieć, że księżniczka Ludwika wyznała później, że na pensyi nie przeszła nawet całego abecadła, a biegle czytać nauczyła się po powrocie do Wersalu.

Pilnowano jednak lekcyi muzyki i tańca, pani Wiktorya wcale ładnie grała na klawicy, balet, a wszystkie księżniczki z należytyim wdziękiem tańczyły modnego naówczas menueta „Kolor róży.”

Przełożona była damą, niemłodą, schorowaną już; apartament jej tak był odległy, że zaledwie tylko raz na miesiąc mogła odwiedzać dostojne swe wychowanki. Zastępowały ją osoby, mające bardzo mało pojęcia o wychowaniu dzieci. Raz postępowano z księżniczkami nadzwyczaj surowo, to znów z niepotrzebną słabością, dogadzano wszystkim ich kaprysom, czasem zaś karano je bardzo ciężko i w sposób nieodpowiedni. Zamykano bowiem maleństwa na kwadrans, pół godziny lub godzinę w pustych sklepionych celach, które je przejmowały trwogą.

To wrażenie strachu wpłynęło być może na późniejsze usposobienie księżniczki Zołii, która przez całe życie tak była nieśmiała, wprost dzika, że można było widywać ją codziennie przez rok okrągły, a nie usłyszeć z jej ust ani jednego słowa. W jednej tylko okoliczności zmieniła się do niepoznania, mianowicie w czasie burzy. Wówczas taki ogarniał ją przestrah, że rozmawiała w sposób najuprzejmniejszy z osobami, na które zresztą nigdy nie zwracała uwagi. Jeżeli błysnęło, ścisła ją za rękę. Ale wraz z pogodą wracała jej zwykła sztywność, nieśmiałość i nieprzystępność.

„Panie,” wzrastając w Fontevrault, nie widowały rodziców; ojca zatrzymywały obowiązki, matkę kępowały despotyczne a śmieszne prawa etykiety dworskiej. Jednak oboje myśleli o dzieciach, a sądząc, że przejażdżki zrobią im przyjemność, posłali do Fontevrault karetę, gondolę i cztery osły w uprzęży

W tym samym czasie starsze księżniczki bawiły się na dworze aż na zbyt wiele.

W 1739 roku, gdy pani Elżbieta liczyła 14-ą wiosnę, król ogłosił małżeństwo najstarszej swej córki z don Filipem, trzecim synem króla Hiszpańskiego; ślub miał odbyć się niebawem.

Początkowo narzeczona płakała całemi dniami na samą myśl rozłączenia się z siostrą Henryką, ale było to jeszcze dziecko; świetne stroje, zaszczyty, nieustające zabawy, uroczystości wkrótce osuszyły łzy, przynajmniej na czas niejaki. Pierwsza ceremonia odbyła się u króla. Delfin podał rękę księżniczce i zaprowadził ją na salony jego królewskiej mości. Pani Elżbieta była ubrana w zwykły strój narzeczonej: czarną suknię ze złotem i płaszcz ze złotej siatki, długi na siedm łokci; koniec płaszcza podtrzymywała księżniczka Henryka. Nazajutrz odbył się ślub w kaplicy Wersalskiej z nadzwyczajną wspaniałością. Książę Orleański reprezentował Infanta Hiszpańskiego. Następnie przez dzień cały trwały widowiska, wieczorem wspaniała uczta, ognie sztuczne, składanie honorów i podarków. Od miasta Paryża zwykły dar: dwanaście tuzinów wonnych pochodni i dwanaście tuzinów pudełek osmażanych migdałów w koszach malowanych, przybranych w muślin i przewiązanych niebieskimi wstążkami.

Nadszedł czas odjazdu. Pożegnanie z królem, królową i siostrami było rozrzewniające. To już na zawsze, na zawsze, płakały bliźniaczki i nie mogły rozstać się z sobą. Biedny Delfin chodził, jak błędny, a księżniczka Adelajda

łamała rączki z rozpacz. Król odprowadził Infantkę do Plessis i tam dopiero nastąpiło ostatnie pożegnanie; ojciec i córka nie mogli utulić się w żalu. Infantka Elżbieta zamieszkała w Madrycie.

Po wyjściu za mąż najstarszej siostry, nadano księżniczce Henryce tytuł „Drugiej pani”. Henryka była ulubienicą ojca i matki, szczególnie przez nich miłowaną. Chciano ją wydać za mąż za księcia de Chartres, ale ze względów politycznych trzeba było zaniechać tego małżeństwa, gdyż przez to gałąź Orleańska nabrałaby większego znaczenia. Potem swatano „Drugą panią” z cesarzem niemieckim, z księciem Sabaudzkim, wszystkie jednak te swaty spełżyły na niczem i uroczą księżniczka Henryka ostatecznie wcale za mąż nie wyszła. Po wyjeździe siostry wlewała biedna gorące łzy żalu i tęsknoty, gdy przeciwnie Delfin i księżniczka Adelajda pocieszyli się prędzej i zaczęli oddawać się nieustającym zabawom. Z czasem udało im się wciągnąć „Drugą panią” w ten wir rozrywki, balet, festynów; młody ten światek nie zdobył się na żadną myśl poważniejszą, na żadne głębsze, podniosłejsze uczucie, bo pochłaniało go jedno tylko gorączkowe życzenie: bawić się, bawić i jeszcze raz bawić!

Ale te wspaniałe, hałaśliwe festyny zakłócił odgłos trąb wojennych. Trzeba było z posadzek balowych przejść do zamkowej kaplicy, aby uprosić u Boga błogosławieństwo dla oręża francuskiego. Wybuchła bowiem wojna z Austryą w r. 1740.

Najstarsza z pośród tego małego światka liczyła wówczas zaledwie lat czternaście.

Jedenastoletnia księżniczka Adelajda powzięła wówczas zamiar poświęcenia się dla ojczyzny na wzór Dziewicy Orleańskiej, o której od brata słyszała. Pewnej nocy wstaje, ubiera się, cichutko wychodzi z pokoju i, wyciągnawszy w pierw czternaście luidorów (złota moneta wartości 20 liwrów czyli franków) z kieszeni siostry, biegnie przez długi kurytarz szukać chłopca stajennego, dozoruującego osłów księżniczek, gdyż obmyśliła, że on będzie dla niej najlepszym giermkim. Mieli we dwoje stanąć na czele wojska, pokonać cesarzową Maryę - Teresę i króla angielskiego uwiezić. Szczęśliwym trafem pani de Tellard, zawczasu uwiadomiona o wyprawie, zatrzymała księżniczkę, z nim jeszcze zdążyła uciec z pałacu, ale przez tydzień bawił się dwór cały pomysłem niedosłej bohaterki.

Tymczasem wojna trwała w dalszym ciągu i król pospieszył do Flandryi, aby tam połączyć się ze zwycięską swą armią, na której czele stał marszałek Saski. Ale czuły ojciec nie miał odwagi pożegnać się z dziećmi, i wyjechał w nocy, pozostawiając tylko nad wyraz serdeczne listy, w których obiecywał pisać codziennie: raz do Delfina, raz do każdej z córek. I dotrzymał obietnicy.

Odebrawszy wiadomość, że Austriacy zagrażają Alzacyi, pospiesza jej z pomocą, lecz w Metz zostaje złożony ciężką niemocą. W Wersalu boleść nieopisana. Dobra królowa Marya Leszczyńska zalewa się gorzkiemi łzami, „Druga pani” łka głośno, a Adelajda z powodu silnego wrażenia dostaje gorączki. Wszystkie trzy pospieszyły natychmiast do Lotaryngii i nie opuściły łóżka chorego króla, póki nie powrócił do zdrowia. A tymczasem marszałek Saski wraz z Delfinem odnieśli zwycięstwo w bitwie pod Fontenoy, poczem nastąpiło zawarcie pokoju w Akwizgranie.

Uroczystościom wszelkiego rodzaju nie było końca; król, królowa i księżniczki brały w nich udział. Mała Szczęsna nie była wówczas zupełnie zdrowa; lecz jakżeż pozbawić ją tak wielkiej przyjemności? Maleństwo zaziębiło się, dostało ospy i umarło.

Przebyte smutki i niepokoje wpłynęły na znaczną zmianę charakteru i usposobienia dwóch starszych księżniczek: Obiedwie spoważniały. Delfina ożeniono, gdy skończył lat szesnaście. Poślubił księżniczkę hiszpańską, Maryę Teresę, którą krótko cieszyła się Francya.

Pomiędzy „paniami” a bratową nie było sympatyj, wspólnych gustów, bo żona Delfina niecierpiała balów, ha-

łaśliwych zebrań, widowisk i ruchliwego życia, a tylko z obowiązku ukazywała się na salonach królowej, aby grać w „cavagnola,” ulubioną grę w karty Maryi Leszczyńskiej, jakkolwiek nie lubiła również i tych karcianych zebrań; główną jej przyjemność stanowiło przypatrywanie się polowaniu, siedząc w wygodnym powozie.

W rok po ślubie zmarła księżna Marya Teresa, a śmierć jej okryła Wersal grubą żałobą. Delfin był niepokieszony, i ta boleść zbliżyła brata do sióstr. Dużo teraz przebywał w ich towarzystwie i przekonawszy się o licznych brakach ich wykształcenia, zaczął wpływać na siostry, jak tylko mógł, aby zabrały się szczerze do nauki; księżniczki usłuchały brata, i w czasie nowej żałoby dworskiej skorzystały bardzo wiele.

(d. n.)

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dalszy ciąg)

— Jakąż tedy znalazł głębokość?

— Rozmaitą. Największa wynosiła około pięćdziesięciu metrów, a mierzył je w różnych miejscach. Zdjął bowiem dokładny plan dna jeziora i podzielił na siedm równych części, które badał w odległościach stumetrowych.

— Ale owa komunikacja podziemna z morzem, może się znajdować w miejscu, którego nie dotknęła ołowianka— wtrącił Henryk.

— Kiedy on nie tylko wzdłuż, ale i wszczez jezioro przemierzył.

— Co też owa szczeka metalowa złowiła na dnie?

— Okrzemki, korzenionózki i trochę mułu.

— Bardzo lichy połów...

— Skutkiem tego jeziora tatrzańskie są bezrybne, a to, przy którym znajdujemy się obecnie jest jedyne w którym poławiają się pstrągi i łososie, i dla tego też zowie się Rybiem.

— A więc lipienie, które widzimy jeszcze na stole, nie pochodzą z Rybiego?

— One poławiają się w potokach.

— Ale nie dowiedziałem się dotąd, pomimo waszej długiej rozprawy, moi panowie, z kąd wzięła się tu na stole morska ryba, której szczególnie jestem amatorem. Dowiedliście, że Morskie oko nie ma komunikacji z morzem, więc pytam po raz trzeci, skąd się tu wzięła, bo o pstrągach wiem, że żyją w górskich potokach i posuwają się aż do stawów. Czemu tedy żyją, nie pojmuję, gdy niema nic do jedzenia!

— Tak znowu źle nie jest: nad wodą latają owady, i te w powietrzu chwytają żwonne pstrągi, wyskakujące z wody rzutem dobrze wymierzonym, jak nie-
toperz lub jaskółka. Tutaj

zaś łowić mogą gasienice i poczwarki. Co do łososia, nie jest to stały mórz mieszkaniec, ale ryba wędrowna. Żyje w wodzie morskiej i słodkiej. Na wiosnę ciągnie z morza Bałtyckiego i Niemieckiego do Renu, Elby, Wetzery, a u nas do Wisły i jej przytoków, to jest Dunajca z Białką, Sanu, Skawy, Bugu. Wodospady, tamy i inne zapory, napotkane po drodze, przeskakuje i idzie coraz dalej pod wodą, aż ku źródłom rzek. Tutaj czas jakiś przebywa, tu składa ikrę na dnie wody w dołek, który sam wygrzebawszy, następnie starannie zagrzebuje. Po dokonaniu tego, wracają łososie jedne po drugich do morza, o ile ich rybacy nie wyłowili. Młode rodzą się w rzekach ale kiedy płyną niemi do morza, niewiadomo: to tylko pewne i to jest ich cechą szczególną, że podrosłszy w morzu, wracają składać ikrę w te same rzeki, w których się zrodziły.

— Między zwierzętami często się zdarzają takie objawy patriotyzmu — rzekł Strand.

— Ludzie mogą się od nich niejednego nauczyć — dodał Jakób.

Warburton podniósł się i rzekł:

— Wybaczycie panowie że się oddalę, jestem bardzo zmęczony. Nie mówię wam dobranoc, bo wkrótce zapewne podążycie za mną. Do widzenia.

Przy stole zapanowało milczenie. Pozostali spojłą dali po sobie.

— Co się stało sir Edwardowi? — zawołał Witold, gdy Warburton oddalił się. — Tylko co mówił, że łosoś jest jego ulubioną potrawą, a gdy tę potrawę podano, zaledwie jej dotknął już odchodzi. A doprawdy, że kucharz ją wybornie przyrządził. Prawdziwe arcydzieło!

I przysunawszy półmisek, nałożył sobie sporą porcję na talerz i dodał:

— Ale ja jutro na obiad przyrządzę potrawę, która nie wiem czy smakować będzie Anglikowi.

— Co! pan się zna na kucharstwie? — zapytał Walter zdziwiony.

— Tak, trochę.

— Czy można wiedzieć co to będzie takiego? — zapytał Jakób.

— Zobaczysz pan jutro.

I zaczął zciha pogwizdywać, co było u niego oznaką dobrego humoru — wreszcie dodał:

— Szkoda, że sir Edward nas opuścił; chciałem opowiedzieć państwu legendę o Morskim oku.

— Opowiedz nam pan, opowiedz — wołali wszyscy — prosimy bardzo.

— Ale i na nas już czas spać: odłożmy opowiadanie do jutra — drożył się Witold, czem jeszcze więcej wszystkich zaciekawili.

— Powieść chyba nie będzie długa—wtrącił Walter— więc wypijmy jeszcze po jednej szklaneczce.

— Zgoda—rzekł malarz, biorąc butelkę, a gdy wszystkim napełnił kieliszki, tak mówić zaczął:

Gdzie teraz wznoszą się góry i skały, poprzerzynane wąwozami, rozciągał się niegdyś kraj równy, żyzny, pokryty łąkami złocistego zboża, kwiecistymi łąkami i zielonemi lasami. Cała ta ziemia bogata aż po granicę węgierską, była własnością możnego polskiego pana, który się zwał Morski. Był on wdowcem i miał córkę jedyną cudnej urody; miłował ją nad życie, otaczał dostatkami, nie odmawiał niczego. Młoda dziewczica mieszkała w zamku wspaniałym, przechadzała się po ogrodach przepysznych, pełnych najrzadszych owoców i kwiatów, stroiła się w kosztowne szaty i klejnoty.

Wśród tych bogactw i tego przepychu brakło jej tylko jednego, najszacowniejszego skarbu: opieki i troskliwości macierzyńskiej. Ojciec, choćby najlepszy, nie jest w stanie dziewczęciu matki zastąpić. Czuł to pan Morski i ciężko wdychał, ilekroć przypominał sobie zasnę towarzyszkę, którą przed laty utracił. Tymczasem córka dorosła; sława niepospolitej jej urody rozniosła się po całym kraju — mnóstwo też młodych panów zajeżdżało na zamek pana Morskiego, pragnąc pozyskać rękę pięknej jego córki. Ojciec



Łososie, przeskakujące wodospad.

jednak nie śpieszył się z wyborem: każdemu odpowiadał, że dziewczę jeszcze za młode.

Panna Morska wyszła raz na jagody do lasu w towarzystwie służebnych swych dziewcząt, a ponieważ pogoda była piękna, wesoła gromadka zapędziła się za daleko, zabiła i nie wiedząc o tem, przekroczyła granicę węgierską. Na Węgrzech panował wówczas młody i urodziwy książę; ten właśnie wyjechał był na łowy do lasu, spotkał dziewczę zbłąkaną, powitał z uszanowaniem i z rycerską grzecznością do granicy odprowadził, drogę wskazał, przy pożegnaniu zaś powiedział, że wkrótce o nim posłyszysz.

Książę rozmyślał się srodze w pannie Morskiej: chociaż nie była ani królewną, ani księżną, postanowił ją wziąć za żonę. Wyprawił też niezwłocznie posłów do polskiego pana, prosząc o rękę córki; ani wątpił, iż przychylną odpowiedź otrzyma: był przecież księciem udzielnym. Ale pan Morski posłów z niczem odprawił: powiedział im, że córki swej jedynej za Węgrzyna nie wyda, choćby był królem, nie tylko księciem, gdyż pragnie ją widzieć żoną rodaka.

Zdziwił się książę i zasmucił; nie stracił jednak wszelkiej nadziei. Sam z licznym orszakiem pojechał na zamek pana Morskiego, wziął z sobą dary bogate dla ojca i dla córki, kłaniał się i prosił pokornie, aby mu piękną dziewczę oddano za żonę. Lecz i tym razem otrzymał taką samą odpowiedź; pan Morski darów nie przyjął, córkę zamknął i nawet gościowi nie pokazał; poprzysiął też uroczyście, że nie wyda jej nigdy za Węgrzyna, bo chce mieć zięcia swojaka. Książę ze smutkiem odjechać musiał.

Pannie Morskiej podobał się urodziwy młodzieniec, a może więcej jeszcze ujęło ją wysokie jego dostojęństwo. Była córką możnego i bogatego pana, lecz zapragnęła zostać księżną panującą; płakała więc i narzekała na srogość ojca, błagała gorąco, aby od postanowienia odstąpił i pozwolił jej węgierskiego księcia zaślubić. Ale on tem więcej odkochał ją po raz pierwszy w życiu z gniewem

wielkim, zabronił myśleć o Węgrzynie i zagroził, że ją przeklnie, gdyby ważyła się kiedykolwiek wolę jego przełamać.

Aż oto w tym czasie król polski rozesał wici po całym kraju, wzywając wszystkich, kto w Boga wierzy, na wielką wojenną wyprawę przeciw Tatarom. Pan Morski był mężnym rycerzem: wnet hufiec zbrojnych wystawił i stanął na jego czele. Nim odjechał, obawiając się o bezpieczeństwo swojego zamku, córkę odwiózł do klasztoru i powierzył opiece pobożnych zakonnic. Potem wyruszył w pole za królem.

Wojna trwała bardzo długo, pan Morski nie wracał i nie dawał znać o sobie. Tymczasem młoda jego córka nudziła się w murach klasztornych, tęskniła za pięknym światem, za lasami zielonemi, za kwiecistemi łąkami, za śpiewem ptasząt i szmerem strumieni. Pewnego wieczoru siedziała sama jedna w swojej celi; zakonnice wszystkie modliły się na chórze, gdy drzwi skrzypnęły z cicha i weszła nieznaną staruszką. Była to żebraczka, która wprosiła się za kratę klasztorną i przypadkiem niby do panny Morskiej trafiła.

(d. c. n.)

Panorama „Bitwa pod piramidami.”

Po „Przeprawie przez Berezynę” Wojciecha Kosaka, zarząd panoramy przy ulicy Karowej wystawił obecnie „Bitwę pod piramidami” tegoż artysty.

Treść do swego malowidła zaczerpnął Kosak z epoki, gdy 29-letni generał Bonaparte, objawszy dowództwo naczelne nad wyprawą na Wschód, z 30,000 armią wyruszył do Egiptu, ażeby tam pokrzyżować interesa angielskie.

Dnia 19-go maja 1798 r. flotylla z 13 okrętów liniowych, 14 fregat i wielu mniejszych statków wypłynęła z Tulonu na pełne morze, unosząc kwiat wojska francuskiego ku ziemi Faraonów.

Po wielu ciężkich i nużących przejściach w połowie lipca, armia stanęła na nizinach pod piramidami, gdzie oko w oko spotkała się z wojskiem egipskim pod wodzą Murada. Prócz kilkunastu tysięcy fellahów i janczarów, miał on pod swojemi rozkazami 10,000 wybornej jazdy mameluckiej i kilka tysięcy jeźdźców arabskich.

Wtedy to Napoleon, dostrzegłszy zaniepokojenie w szeregach swego wojska, zagrzął je do boju słowami: „Pamiętajcie, że czterdzieści wieków patrzy na was ze szczytów tych piramid!”

Jakoż kiedy nazajutrz przyszło do walki, piechota francuska rozbiła Murada, zadając mu stanowczą klęskę.

Obraz przedstawia pole bitwy według opisu ówczesnego sztabu generalnego francuskiego. Niziny na prawo nie-

Z panoramy: Bitwa pod piramidami.



Piramida Gizeh.



Bitwa pod piramidami: Murad - bej na czele jazdy Mameluków.

mal do samych piramid zajmuje jazda Murada. W wiosce Embabech, położonej nad brzegiem Nilu rozłożyło się w szyku bojowym 20,000 fellahów i 4,000 janczarów. Na lewo widać minarety Kairu.

Napoleon rozdzielił swoją armię na 5 dywizji, z których dwie tworzyły prawe, drugie dwie lewe skrzydło, piąta zaś zajęła środek armii. Każda dywizja tworzyła czworobok, składający się z 6-ciu rzędów, za którymi stały oddziały grenadyerów, gotowe każdej chwili wesprzeć upadające lub też zastąpić przeredzone przez nieprzyjaciela szeregi. Działa umieszczono w narożnikach czworoboków, a w ich środku zajęła miejsce generalicyja, wśród której znajdował się Polak Sułkowski. Czworoboki były ruchome i, stosownie do potrzeby, z łatwością mogły się posuwać.

Ustawione w tym szyku czworoboki wzięły we dwa ognie wojsko Murada i doszczętnie je zniszczyły. Pole bitwy na szerokiej przestrzeni zasłane było poległymi mamelukami, ci zaś, którzy z Muradem nie zdążyli ratować się ucieczką, razem z fellahami zostali wepchnięci do Nilu.

W obecnie wystawionym obrazie w gmachu panoramy, widzimy odtworzony atak jazdy mameluków na czworobok środkowy.

Obraz ten ma 15 metrów wysokości, 125 metrów długości, powierzchnia więc płótna wynosi 1,725 metrów.

Ludzi i koni malował przeważnie Wojciech Kosak, krajobraz zaś: Michał Wywiórski, Józef Ryszkiewicz i Władysław Jasiński. Kazimierz Pułaski, malował i jedno i drugie.

Kto chce choć na chwilę przenieść się na słoneczne równiny Egiptu, pod stopy piramid i zobaczyć jedną z naj-słynniejszych bitw w historii, ten dozna prawdziwej przyjemności w zwiedzeniu tej pięknej panoramy.

PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

VIII. Na Budach.

Mimo niechęci, jaką opiekunowie Pawełka jawnie okazywali Hani i jej nauczycielce, nie zaprzestały jednak swoich odwiedzin. Łatwo się domyśleć, że wraz z kluczem od skrzynki zginęło i ubranie małego sieroty, i że na usprawiedliwienie swoje Piotrowa rozmaite rzeczy coraz mniej podobne do prawdy opowiadała.

Teraz Hania przekonała się dokładnie, że dobry uczynek nie zasadza się na samym datku, lecz na dopilnowaniu, ażeby datek nie był na złe obrócony.

— „Pieniądz lub podarunek dany złemu człowiekowi, popycha go jeszcze do większego złego.” — Przeczytała raz Hania w jakiejś książce, Często też myślała o tem i rozmawiała z panną Martą lub matką.

Pilnowała więc żeby wszelkie datki nie były obracane na marne.

Zresztą ofiary swoje rozdzielała na najmniejsze części. Doszło więc do tego, że kilka razy na tydzień chodziły lub, gdy nastąpiły słoty, jeździły na Budy, wioząc po kawałku chleba, po trochu krup lub zamawiając się o cośkolwiek, byleby odwiedziny swoje powtórzyć.

Przy każdym zaś odwiedzinach rzuciły zawsze jakieś słówko. Było ono słuchane bardzo niechętnie przez Piotrową, męża jej bowiem nigdy prawie nie zastawały. Nie zniechęcały się jednakże.

Prócz tego przygarniały do siebie dzieci Piotrowej, które żyły w zupełnym zdzczeniu. Z początku tak dziesięcioletni Kazik, jak i dwie młodsze od niego dziewczuchy, uciekały z krzykiem na widok nadjeżdżających, lub kryły się po najciaśniejszych kątach, teraz już wyczekiwały przyjazdu Hani. I Pawełek i dzieci Piotrowej musiały zawsze odmówić pacierz i powiedzieć „Bóg zapłać” za każdy datek. Po niejakiem czasie witały chętnie przybywających a żegnały: „Jedźcie z Bogiem.”

Na Boże Narodzenie i Pawełek i dzieci jego opiekunów obdarowane zostały.

Były to bardzo drobne datki, nie obciążające bardzo skąpo uposażonej portmonetki Hani, niemniej jednak rozradowały Piotrową, która nawet spodziewając się przybycia pań z Chrustowa, wysypała piaskiem przed sienią i zrobiła ścieżkę w śniegu.

— Niech ta sobie przyjeżdżają, zawszeć tam coś kapnie! — mówiła do męża.

Chłop kiwał głową i mruzczał:

— Już oni wedle tej chałupy coś kalkulują, ale i ja nie głupi.

I spoglądając z podełba, przygarbiwszy się szedł do miasta, skąd zwykle kryjąc pod połą, przynosił jakiś węzełek jadła i upiwszy się, spał lub skulony siedział, póki przyniesionego nie spożyto jadła.

Pan Chrustowski oblegany przez Hanię, ażeby odebrał chatę dla Pawełka, wciąż odpowiadał:

— Zrobi się to, zrobi, da Bóg i bez mego udziału.

Czasami tylko wypytywał pannę Martę lub Hanię o Budy i jej mieszkańców, a wypytywał tak drobiazgowo, iż możnaby go posądzić, że temi pytaniami chce tylko zrobić pewną przyjemność swej ukochanej jedynaczce.

Potem jednak w rozmowie z żoną i panną Martą mówił z uśmiechem:

— Powiedziałem, że się zrobi, i zrobi bez mego udziału, a za waszą pomocą — dodawał.

Hania nauczyła się z nimi rozmawiać, a dzieci nawzajem tak się przyzwyczyły do jej odwiedzin, iż z prawdziwą radością ją witają — mówiła nauczycielka. Doskonała była myśl pana — dodała.

— Przykro mi tylko, że mniej teraz odwiedza dzieci w Chrustowie — ozwała się matka.

— Tutejszych dzieci moja pani nie zaniedba, a Hania niech się uczy przełamywać trudności — odrzekł pan Chrustowski.

Przełamywała więc, nie wiedząc prawie o tem, że się stała posłanniczką woli rodziców w rzucaniu dobrego ziarna wśród zdziczałej, nie słuchającej niczyich rad, tuż pod bokiem Chrustowa zostającej osady.

Garść orzechów, kilkanaście jabłek a z nimi rzucone słówko zbliżało je nie tylko do dzieci Piotrowej, lecz i całej tej brudnej, nędznej wioski.

Była to praca nader powolna, potrzebująca wielkiego taktu i umiejętności wychodzenia z ludźmi, i z pewnością Hania bez panny Marty nie umiałaby sobie w tem radzić.

Lecz zacna nauczycielka, stojąc sama na uboczu, podsuwała jej tak zręcznie rady, tak nią kierowała, tak umiała zawsze poddać jakąś myśl nieznacznie, iż dziewczynka przyswajając ją sobie, wprowadzała w czyn i wdrażała się w systematyczną a pożyteczną pracę.

Ubiegła jednak zima, zazieleniły się pola i łąki, zapachniały wiosenną, świeżą wonią lasy i rozbrzmiewały śmiegiem ptaków, a na Budach jak dawniej tylko brud i śmiecie wygrzewały się na jasnem słońcu. Na złe uprawnych polach gdzieniegdzie zaledwie widać było chude, mizerne żyto, wychodzące leniwo ze stwardniałej, nieużyźnionej ziemi.

Dzieci przed chatą Piotra tak samo grzebały się w wiosennem błocie jak i przed innemi. Piotra jak zwykle nie była w domu, Piotrowa także gdzieś powlokła się.

— Kazik, masz szpadel, skop ten kawałek ziemi — rzekła Hania, dając mu przywieziony z sobą szpadel. —

Jula zgarnij te śmiecie, a ty, Ewusiu, idź z Pawełkiem i przynieście trochę chrustu! — rozrzadzała dalej.

Dzieciaki rozpróżniane posłuchały jednak.

— Żebyście mi ten kawałek tutaj przed oknem chaty skopali i tym chrustem dokoła, ot tak zagrodzili! — mówiła stanowczym głosem, zakreślając im kilkołokciowy kwadrat.

— Pojutrze przyjedziemy, przyniesiemy wam grochu, wsadzicie i będziecie mieli strąki! — dodała panna Marta.

Dzieci spojrzały, i jakoś nie bardzo skwapliwie brały się do roboty. Jeden tylko Pawełek przywłókł nieco chrustu, był on najmłodszy, ale jakiś najzaradniejszy. Przedewszystkiem zaś na rozkaz panienki chętnie wszystko spełniał.

Kazik był to urwis skończony, ojciec brał go często do miasta i obadwaj razem przywłóczyli rozmaite węzłki z którymi się kryli, co świadczyło, że ten ich zarobek nie miał uczciwego pochodzenia. Kiedy nie był z ojcem w mieście, psuł gniazda ptakom, zastawiał na nie sidła, lub wylegiwał się na słońcu. Teraz choć nie bardzo chętnie, wziął się jednak do kopania ziemi, oglądając się tak samo jak i siostra na chleb, który dojrżeli w koszyku.

Chętnie czy niechętnie, skopali i ogrodzili oznaczony kawałek. Piotrowa przyszedłszy, zataczając się do domu, chciała rozrzucić chruściane ogrodzenie, Pawełek jednak począł tak wrzeszczeć, że baba poczęstowawszy go kułakiem, powlokła się do chaty.

Hania z panną Martą przybywszy nazajutrz, dopilnowały zasadzenia grochu, a przywoźlszy spore drzewko wiśniowe, zmusiły dzieci do wykopania dołka i zasadzenia wisienki przed chatą.

— Oho, już i drzewa zaczynają sadzić, myślą, że je razem z chałupą zabiorą! — mruzczał Piotr — nie doczekanie ich! — odgrażał się, wytrząsając pięścią.

Lecz Hania nie słyszała tego, a chociażby i słyszała, nie byłaby się tem zraziła. Była to jednak praca bardzo trudna i niewdzięczna, upłynęło bowiem znów lato i jesień, upłynęła zima a na owych Budach nic się prawie nie zmieniło. Tyle tylko, że na następną wiosnę dzieci z własnej woli skopały już teraz ów kawałek ziemi, przed inną chatą uczyniono to samo, a wisienka okryła się białym kwiatem.

Jednego dnia, gdy Hania przybyła, zastała Piotra bardzo chorego. Zrazu panna Marta myślała, iż widzi pijanego, po chwili okazało się inaczej.

Na pijanego spadła kłoda drzewa i teraz dyszał ostatkiem sił już prawie. Piotrowa ponura i niechętna zwykle, teraz rozwodziła się nad swoim nieszczęściem.

— Zamrze, a cóż ja z temi robakami pocznę! — mówiła płaczącym głosem, zerkając wszakże, czy na bryczce nie ma jakiego datku. — Mój Jezu, toć on i tego sierotę przygarniał, jakby własne! — mówiła, wskazując na Pawełka.

— Trzeba, przecież coś zaradzić, przywieziemy doktora, lekarstwo! — mówiła Hania.

— Jemu ta nic już nie pomoże! — kiwnęła ręką baba.

I rzeczywiście przywieziony doktor zalecił jakieś leki, lecz orzekł też samo.

— Trzeba żeby się wypowiedał! — rzekła panna Marta.

— Toć! — westchnęła Piotrowa.

Na drugi dzień raniutko przybył proboszcz z Chrustowa. Na jego przybycie ubrano chorego w czystą bieliznę, wymieciono izbę, usypano piaskiem na ścieżce i przed progiem, a nawet kilka bab z chat sąsiednich stanęło około chaty.

Dzieci Piotrowej i Pawełek dzięki staraniom, Hani i panny Marty, schludnie odziane wyglądały z za węgła z pewną ciekawością połączoną z przestraczeniem.

— Jedzie już, jedzie! — zawołał Kazik.

I nie wiedzieć dłaczego, uczepiwszy się kolka w ścianie, wdrapał się z kocią zręcznością na dach i usiadłszy tuż przy kominie, przyglądał się przybyłemu.

Ksiądz proboszcz znał doskonale mieszkańców osła-

wionych Bud, niejednokrotnie przemawiał do nich, były takie chwile, że wprost z ambony wyrzucał ich rozmaite grzeszki, bolejąc, że w jego parafii tacy to a tacy ludzie się znajdują. Teraz też, poprzedzany przez chłopca oznajmującego dzwonieniem przybycie księdza z Sakramentami, szedł powoli w białej komeżce i przyciskając do piersi ukryty w torebce Najświętszy Sakrament, modlił się w duchu gorąco.

(d. c. n.)

Z dziennika Janka Ż.

(Dalszy ciąg).

Dalszy ciąg dziennika.

Wczoraj przerwałem pisanie, bo wspomnienie śmierci Roberta rozrzewniło mnie do łez. A jednak chciałbym dokończyć mego opowiadania. Łódź mknie szybko po płytkich wodach Oranii. Dni mijają niepostrzeżenie, nie wiem nawet ich daty, każde uderzenie wiosła zbliża mnie do celu podróży, a tym celem... zobaczyć drogiego ojca!...

Gdy o tem myślę, oddech zamiera mi w piersiach. Ach, koledzy! jaka to będzie radość! Uściskać jego ręce, nogi, przytulić się do serca! Spojrzeć tatce śmiało w oczy i móżdż powiedzieć... no, wyznam już co myślałem, że... że chyba nie stałem się niegodny jego nauk, że, jak mówił stryj, godzina niebezpieczeństwa była dla mnie zawsze godziną obowiązku.

Ale wracam do opowiadania. Niema głupszej rzeczy, koledzy, jak rozczulać się nad sobą. Wstyd mi tego, co napisałem.

Odzyskałem prędko siły na fermie pana Van Riemena, bo też gospodarz podejmował nas, jak tylko Bur, kochający swój kraj podejmować może jego obrońców. Szybkie wyzdrowienie zawdzięczałem staraniom Dermonta i mego obecnego towarzysza podróży Achabatiego. Pisałem już o tem, koledzy, że należy on do plemienia Zulów i że Zulowie jeszcze przed niedawnym czasem byli narodem wolnym. Wojsko ich odznaczało się doskonałym wyćwiczeniem, mieli nawet własne fabryki prochu, a broń palną kupowali od swych sąsiadów Portugalczyków. Pokonani przez Anglików, nie mogą jednak pogodzić się z losem. Czekają niecierpliwie wyniku wojny i jeżeli Burowie zwyciężą, oni także powstaną. Tak przynajmniej sądzi Zulus Achabati, potomek królewskiego rodu Pandy. Achabati ścigany przez Anglików w wojnie 1880 r. zbiegł w granice Transwaalu i znalazł schronienie na fermie pana Van Riemena. Dzielný Zul należał w ośm lat później, to jest 1888 roku, do buntu przeciw Anglikom, ale gdy ci wzięli do niewoli Danizulę wodza powstania, Achabati wrócił znów do naszego gospodarza, z którym łączy go prawdziwa przyjaźń. Są obaj starzy i obaj cenią wolność nadewszystko.

Pan Van Riemen żyje, jak Robinson Kruczo, nie kupując nic nigdy od nikogo prócz broni. Nigdy nie był w Pretoryi ani w Johannesburgu, ani w żadnym mieście. Sam uprawia tytuń do swej fajki, sam też wyrabia proste swoje sprzęty. Mówi, że Burowi wystarczyć powinna biblia, jego ferma i polowanie. Biblia leży też zawsze na stole w pokoju, w którym przyjmuje gości. Ci zdarzają się bardzo rzadko, ale pan Van Riemen nie tęskni do ludzi. Utrzymuje, że Bur, swobodny pan fermy, nie powinien widzieć ze swego okna dymu ogniska sąsiada. Sąsiadami są też tu tylko niebotyczne góry, bo Murzynów służących ani pan Van Riemen, ani Achabati nie biorą wcale w rachubę. Zul gardzi nimi, chyba więcej jeszcze niż Holender. Temu natura zastępuje rodzinę. Stracił żonę, będąc młodym, umarła z rany, odniesionej w czasie bitwy. Pan Van Riemen leżał chory na jakąś złą gorączkę, kiedy na fermę na-

padła gromada Buszmanów. Młoda Holenderka obroniła męża i fermę, ale ugodzona zatrutą strzałą, skołała po kilku godzinach okropnych męczarni.

Takie tu bywają bohaterki. Taką jest żona generała Cronie, dzieli z mężem więzienie, jak wprzód dzieliła walkę. Takimi są kobiety burskie, nie dziw też, że Anglicy pokonać nie mogą dzielnego narodu. Taką była biedna Wilhelmina, lub pani de Wett, którą znów podziwiałem, gdyż z niezmierną energią czuwała nad wszystkimi potrzebami męża. Jej też zawdzięczaliśmy dobre obiady, przy których miałem sposobność słyszeć rozmowy generała z Dermontem i panem Van Riemenem. Z rozmów tych wywnioskowałem, że de Wett nie myślał ani na chwilę o poddaniu się, chociaż oddział jego był rozbity. Wy, koledzy, czytaliście zapewne w gazetach, że Holendrzy są już zupełnie pokonani. Tak sądzono podobno w Europie. Ale de Wett śmiał się z tych złudzeń. Żołnierz wysłany po wiadomości przywiózł na fermę opis bohaterkiej jakoby śmierci generała. Wiedzieliśmy wszyscy, że de Wett rozpuszcza sam pogłoski o swoim zgonie. Chciał bowiem uniknąć pościgu i dać chwilę wytchnienia Burom.

— Zmartwychwstaniemy niedługo i nie w Transwaalu lub Oranii, ale w Kaplandzie. Poruszymy Afrykanderów. Ludność tamtejsza jest także holenderskiego pochodzenia — mówił de Wett do pana Van Riemena.

Czy się nie łudził? Któż zgadnie? Może biją się już na nowo, a ja nie wiem nawet ile czasu upłynęło od mego wyjazdu, nie mam kalendarza, zapomniałem zapisywać dni. Jedyłą rozrywką moją w tej nudnej przeprawie, to czytanie pana Tadeusza. Książka doleżała w kieszeni razem z zeszytem, w którym piszę dziennik. Ale bo też bluzy burskie mają niezliczoną ilość kieszeni i to mocnych, głębokich. Zawdzięczam im przechowanie Pana Tadeusza.

Dalszy ciąg dziennika.

Wczoraj zamiast pisać, uległem pokusie i czytałem głośno wspaniałe wiersze Mickiewicza. Mój towarzysz zdawał się słuchać ze zgrozą poezji. Dziwna mieszana rozum i naiwność u tego człowieka. Podejrywa czary w książce. Widziałem jednak sam, jak bardzo umiał być użyteczny de Wettowi. Achabati znał wybornie nadmorski kraj Swasów. On to ułatwiał Burom (przez nienawiść do Anglików zapewne) porozumiewanie się de Wetta z Krügerem w Laurenço-Marquez. Widziałem, jak wysyłano do Swasów część pak ocalonych z jaskini. Nie domyślałem się wtedy, że będę sam brał udział w tem transportowaniu transwaalskiego skarbcia.

Wczoraj próbowałem nawracać Achabatiego, który jest poganinem. Spojrzał na mnie zdziwiony i urażony. Po chwili dopiero odezwał się z goryczą w głosie.

— Niech biały młodzieniec opowiada swoją naukę królowej Anglików. Pierwej popraw grzesznych, a potem nawracaj niewiernych. *)

(d. c. n.)

*) Autentyczne słowa.

SZARADA.

*Pierwsze i drugie w każdym alfabecie
Znajdzie bez trudu nawet małe dziecię.
Trzecie wspanak to przyimek — ot! i wyraz cały,
A jednak on określa przedmiot tak wspaniały,
Co głębią i rozmiarem takich granic sięga,
Że przy nich samej ziemi maleje potęga.*

ZADANIE KONIKOWE.

Cyganka z nad Jasiółki.

ku	snek	ob	cze	wcze	ną	zlo	noc
sło	jesz	za	pio	tych	poł	cha	nek
wro	kwiat	le	śnie	rań	wro	mro	ze
ku	nek	nek	kwin	dwie	dnu	naj	z gór
śnie	sko	za	naj	sko	szy	snał	zem
za	kwiat	tek	za	szły	skich	bia	rań
nił	wcze	wcze	wio	Z nie	nie	ple	bły
śnie	pier	dzwo	ze	śnie	snek	bie	le

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Arytmografu:

- 1) Linde.
- 2) Elba.
- 3) Przelaszczki.
- 4) Sokrates
- 5) Zulus.
- 6) Yonne.
- 7) Romulus.
- 8) Yukatan.
- 9) Dan.
- 10) Zbaraż.
- 11) Narew.
- 12) Ida.
- 13) Żelazo.
- 14) Nil.
- 15) Illimani.
- 16) Cyryl.

Lepszy rydz niż nic.

WYSTAWA SIENKIEWICZOWSKA.

W lokalu Towarzystwa prawidłowego myślistwa (ul. Nowy-Świat 35) otwarto na korzyść Towarzystwa Dobroczynności wystawę wszystkich darów, pamiątek i adresów, otrzymanych przez Henryka Sienkiewicza z powodu jego jubileuszu, oraz wszystkich dzieł i pism jego w różnych językach. Zwiedzenie tej wystawy jest niezmiernie ciekawe i pouczające. Szczegółowy spis wszystkich wystawionych przedmiotów pomieścił z licznymi rycinami tygodnik „Sport” w Nr. 15-ym r. b., który stanowi miłą pamiątkę tej wystawy i jubileuszu naszego znakomitego pisarza.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Równianka, wiersz (z ryc.) — Córci Maryi Leszczyńskiej (kartka z XVIII-go wieku). — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Bitwa pod piramidami (z ryc.) — Panieczyk, przez Z. Morawską. — Z dziennika Janka Ż. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek:** Grzeczne dzieci, przez A. Ziemborowską (z ryc.) Domek rodzinny, wiersz. — O skowronkach dawna legenda ludowa. — Piotruś i Basia (dokończenie). — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Desly, przekład z francuskiego M. K.

GRZECZNE DZIECI.

Na dworze było chłodno i dzieciom zaczęło się nudzić w pokoju.

— Co ty będziesz robił, Edziu? — zapytała Marylka.

— Sam jeszcze nie wiem — odpowiedział brat. — Mój skórzany konik okulał wczoraj, więc pewno będę musiał cały dzień piechotą chodzić.

— To bieda! — zawołała Marylka — nogi cię rozboleją i jeszcze sam okulejesz.

— Trzeba sobie jaką zabawkę wyszukać.

— Aha. Ale jaką?

— Blaszane gąski i magnes. Gęsi puścimy na miednicę z wodą i będziemy je magnesem prowadzili.

— A nie pamiętasz, że gąski w piecu się przepaliły, a magnes w sadzawce utonął?

— Ach prawda, ale to nie moja wina, bo ja przecież chciałem tylko, żeby się gąski rozgrzały, bo wyszły z zimnej wody. Ja włożyłem je w letni piec, a potem to nie chcący o nich zapomniałem; Kasia podpaliła ogień, no i musiały się zepsuć.

— A magnes z mojej winy zginął? Chciałam tylko żywe gęsi przyciągnąć ze stawu; wysliznął mi się z ręki i zaraz się gdzieś w wodzie podział.

— No, to weźmiemy piłkę.

— Kiedy mi wczoraj za piec wpadła w tę szeroką szparę.

— No to i cóż zrobimy?

— A czy ja wiem, trzeba się mamusi zapytać.

I dzieci do mamy pobiegły, a mama poradziła im najpierw „chowanego.”

Edzio zamknął oczy, a Marylka schowała się pod stół nakryty długą serwetą i pisnęła cieniutko: „już!”

Edzio zaszedł najpierw za szeroko otwarte drzwi, potem za piec, potem za krzeselko mamy, wreszcie wybiegł do drugiego pokoju. Więc Marylka krzyknęła po raz drugi „już” tak grubo, że się teraz braciszek domyślił odrazu, gdzie jej szukać należy.

Pobiegł prosto do stołu, podniósł serwetę i zawołał klaszcząc w ręce: „a kuku! a kuku!”

Teraz Marylka zamknęła oczy.

Edzio przewrócił do góry dnem wielki kosz do papierów i wsunął się pod niego.

Teraz było trudniej go znaleźć.

Marylka już nawet do szafy zaglądała, a jeszcze

koszyka domyśleć się nie mogła. Wreszcie sam Edzio wyskoczył.

Po godzinie tej zabawy dzieci znowu zwróciły się do matki.

— Mamusiu, co teraz robić będziemy?

— Zabawcie się w kolory.

— Ach, prawda!

I jedno obierało sobie jakąś barwę, a drugie ją odgadywało. Kto nie zgadł, dawał fant. Edzio usiadł pierwszy i zaczął myśleć. Marylka pytała:

— Różowy?

— Nie — odpowiedział brat.

— Zielony? Żółty? Czerwony? Czarny? Biały?

— Nie.

— No, to jakież będzie? już niema więcej kolorów.

— Niema?

— No, to czekoladowy? Śmietankowy? Herbaciany?

— Nie.

— No to jaki?

— A widzisz, że popielaty w czarne kropki.

— Eh!... ktoś to zgadnie?

— No — ty myśl teraz, ja zgadnę.

— Zobaczymy.



— Kawowy? Herbaciany? Chlebowy? Sałatowy?
Poziomkowy? Buraczany?

— Nie.

— No — to jaki?

— A widzisz, że nie zgadłeś. Powiedz że...

— Tabaczkowy — a widzisz?

Oboje już mieli fanty.

Edzio za swój fant powiedział następujący wierszyk:

„Szła uboga kobiecina,
Ledwie się na nogach chwiała.
Wybiegła mała dziecina —
I ubogiej kwiatek dała.

Aniołkowie to widzieli,
Drogo ten kwiatek kupili,
Świątą tezką go skropili,
I do nieba z sobą wzięli.”

Marylka znowu zaśpiewała piosenkę:

„Lata ptaszek po ulicy —
Wybiera ziarenka pszenicy;
A ja sobie stoję w kole,
I wybieram kogo wolę!”

Na zakończenie objęła Edzia za szyję.

Mamie, patrzącej na zgodę dzieci, aż się serce radowało, więc kiedy po skończeniu tej zabawy, znowu przybiegły z zapytaniem, co będziemy robili? Wyszukała im w szafie prześliczną książeczkę z obrazkami, pozwalając z nią wyjść do ogrodu, bo po południu zupełnie się już ociepliło.

Uszczęśliwione dzieci, usiadłszy na ławce, ciekawie teraz przewracają kartka za kartką.

W książeczce są prześliczne ptaki i zwierzęta, barwnie malowane.

Starszy Edzio tłumaczy siostrzyczce, czego ona sama poznać nie może, a tłumaczy tak wyraźnie, że nawet bieluchny Kizio przysłuchuje się ciekawie.

A. Ziemborowska.

Domek rodzinny.

Chociaż nasz domek skromny i ubogi,
Strzecha słomiana i niziutkie progi,
Choć zamiast kłębów jest trawnik zielony,
A tuż pod płotem stoją pługi, brony,
Choć w drzew osłonie niewidny nikomu,
Tam mi najlepiej — bo w domu! bo w domu!
Chociaż tam często i troska zawita,
Przyjdzie rok ciężki, za mało jest żyta,
A ojcu wszystkich obdzielić potrzeba,
Ubrać i uczyć i dać kawał chleba,
Choć bywa smutno, ja nie wiem jak komu —
Mnie zawsze dobrze — bo w domu! bo w domu!
Więc chociaż w szkołach nie jest mi tak źle,
Serce ogniście do domu się rwie,
Liczy godziny, dni, kresu wygląda,
Świąt i wakacyi, bo któż ich nie żąda,
A dzień powrotu czyż nie miły komu?
Bo wszędzie dobrze — lecz najlepiej w domu.

15-a.

O skowronkach.

Dawna legenda ludowa.

Szedł Piast — powiadają ludzie — za pługiem po swej roli, śpiewając pieśń do Bogarodzicy. W okolo pustką leżały niwy... Hen, w dali tylko bielila się chata kmiotka, schludnością świecąc, lubo nie zamożna.

Śpiew ustał.

Piast orał dalej wśród ciszy...

Wtem jęła go się jakaś dziwna tęsknota, co niewiadomo skąd przyszła. Uczuł dotkliwie swoją samotność w szczerem polu. Już z żalem ku niebu podniósł oczy, iż Bóg niczem nie ożywi pustki rolnikowi w jego znoju, gdy nagle pług obsiadły nieznanne przedtem ptaszęta i zwróciły uwagę kmiecia głośnym szeptem... to też przyrzwał się on bacznie owym pierzastym latawcom.

— Podobne — rzekł — ale przecież to nie wróble...

Chciał pochwycić jednego, ale ptaszki spłoszone zaraz frunęły.

Nadeszła niebawem Rzepicha, niosąc mężowi w trojczkach posiłek na południe... Teraz oboje zobaczyli, iż te same ptaszki gonily po roli za owadami. Rzepicha również zapewniała Piasta, że nigdy przedtem nie widziała takich dziwnych wróbli...

Wtem jeden z tych ptaków, śpiewając prześlicznie — niby słowik w maju — zaczął wlatywać z roli prosto w górę... Leciał coraz wyżej, wyżej, aż hen, w obłoku zawisł na chwilę, trzepocąc skrzydłami i wciąż zawodząc swe pienia. Potem z wolna zaczął się spuszczać na dół, aż wreszcie, jak kamyk, spadł na ziemię z powrotem i pieśń swoją nagle urwał...

Po nim to samo robiły kolejno jego towarzysze.

Kiedy Piast i jego żona z wielkiem zajęciem przypatrywali się temu, nadszedł sąsiad ich, imieniem Skowron, znany we wsi bezbożnik, rabuś i podpalacz, który pozostał poganinem, nie chcąc — jak Piastowie — uwierzyć w Chrystusa...

Właśnie znowu obsiadły pług Piasta owe ptaszęta, gdy się zbliżył Skowron. Wtedy Rzepicha nachyliła się ku skrzydlatym śpiewakom, pytając łagodnym głosem:

— Cóżecie tam, ptaszęta, widziały w obłokach?

A na to ptaszki odparły chórem:

— Byłyśmy u progu nieba i widziałyśmy Pana Jezusa...

— A matka Jego tam była? — Piast spytał.

— Siedziała u boku Chrystusa Pana... Na jej to cześć śpiewamy, bo wam kazała powiedzieć, iż Syn Jej najbardziej ubogich chłopków miłuje...

— A słyszysz ty, grzeszniku pogański! — odezwała się Rzepicha do Skowrona, poczem spytała jeszcze:

— Moje ptaszki, a nic wam Pan Jezus nie mówił?...

— Kazał nam mieszkać na roli — chórem odpowiedziały ptaszyny — i śpiewać nad polami, żeby uprzyjemnić ciężką pracę rolnikom...

— O, Bóg, wam zapłać, ptaszęta, za to... i Panna Marya, której śpiewacie w obłoku — zawołali Piastowie, a za nimi powtórzyl i Skowron, który odtąd uwierzył w Chrystusa, rzucił bożki pogańskie i zaczął wieść życie uczciwe, jako Bóg przykazał.

Na tę pamiątkę Rzepicha skowronkami nazwała śpiewaków Maryi, które nawróciły grzesznika Skowrona.

O nim zaś Piast pamiętał, gdy od pługą został królem i zrobił go swoim skarbnikiem.

Kazimierz Kalinowski.

Piotruś i Basia.

(Dokończenie).

— Zostaw nam sąd o tem — rzekł przewodniczący, powstając. — Oświadczam ci przedewszystkiem, że ani ten chłopiec, ani jego siostra ciebie nie oskarżali, na ciebie żadnych podejrzeń nie zrzucali. Zebrawszy jednak różne dane, doszliśmy do wniosku, że nie kto inny, tylko ty jesteś winien. Twoje niejasne, niechętnie odpowiedzi, towarzystwo ludzi niepewnych, z którymi żyjesz, rodzaj życia, które od dwóch miesięcy prowadzisz, pieniądze, które wydawałeś w sam dzień owej kradzieży, wszystko to są dowody, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości o niewinności tego biednego chłopca, który o mało nie został ukarany zamiast ciebie. Gdyby zaś tych dowodów jeszcze było za mało, to list, który dostałem wczoraj, dostatecznie wyjaśnia niezrozumiałą dotychczas część sprawy. Uważam też za potrzebne, by wszyscy tu zebrani treść tego listu poznali. A zatem proszę słuchać, brzmi on jak następuje:

„Szanowny panie! Szczęśliwym wypadkiem, który uważam za wolę Opatrzności, wpadł mi w rękę numer gazety sądowej, z której dowiedziałam się o sprawie pewnego małego kominiarza, posądzonego o kradzież znalezionej przy nim dziesięciorubłówki w złocie. Obwiniony tłumaczy się podobno, że dostał tę monetę od pewnej pani, w dzień Nowego Roku, lecz dostał ją tylko przez pomyłkę, wraz z miedziami, za otwarcie drzwiczek od karety. Słowa jego wszakże nie budzą wiary. Otóż spieszam zaświadczyć prawdę tego zeznania, gdyż ową panią właśnie ja jestem. Brak tych dziesięciu rubli spostrzegłam dopiero wróciwszy do domu, kazałam nawet przeskukać karete, myśląc, że upuściłam je niepostrzeżenie. Była to nowa, błyszcząca moneta, przeznaczona na podarunek dla dziecka moich przyjaciół. Straciwszy ją, pocieszyłam się myślą, że zamiast na zbyt kosztowne zabawki zamożnego dziecka, pieniądze dostały się biedakom, którzy niejedną nagłą potrzebę z ich pomocą zaspokoją niezawodnie. Jakże daleka byłam od przypuszczenia, żeby przeciwnie omyłka moja stała się przyczyną nie-szczęścia, jakie spotkało to dobre dziecko, którego nieposzlakowana uczciwość wzruszyła mię do głębi serca. Proszę mu w moim imieniu oświadczyć, że te pieniądze teraz już na prawdę do niego należą, że go proszę o przyjęcie ich w podarunku, jako małe zadosyćuczynienie przykrości, których stały się dlań powodem, i niech Bóg dobry błogosławi mu i jego siostrzyczce tak, jak na to zasługują.

Pozostaję z poważaniem

Marya G.”

— O, jaka dobra, kochana ta pani!... — zawołała Basia, składając ręce, z silnemi rumieńcami na uśmiechnię-

tej twarzyczce, a choć Piotruś nie rzekł ani słowa, oczy zajaśniały mu uczuciem niewysłowionego szczęścia. Wyczerpany tem, co przeżył, bał się widocznie stracić w ostatniej chwili mocy panowania nad sobą i rozplakać się głośno.

Teraz już Piotruś nie stał przed sądem. Prokurator w pięknej mowie, powołując się na powyższy wypadek, zwracał uwagę wszystkich obecnych, jak często sądy ludzkie są mylne, jakiej mądrości, jakiej ostrożności potrzeba, przy wydawaniu wyroków, które mogą zawazyć na szali całego życia ludzkiego i pozbawić uczciwego, dobrego imienia i szacunku ludzkiego. W końcu zwrócił się do Jakóbka, wykazując brzydotę jego postępków, a natomiast zachęcając, by w przyszłości starał się naśladować przykład dany mu przez rówieśnika i kolegę.

Niedawno jeszcze śmiałość i pewność siebie Jakóbka, znikły. Chłopak stał drżący i zalany łzami, a gdy Piotruś zbliżył się z wyciągniętą ku niemu ręką, rzekł smutnie:

— Zostaw mię, teraz przecie już wszystko między nami skończone, bo czyż mi to kiedy przebaczysz?

— O! nie mów tak! — nie zrywaj naszej przyjaźni. Ja będę cię odwiedzał w więzieniu, będę z tobą rozmawiał o twoich rodzicach, o domu; pozostaniemy nadal przyjaćmi, aż Bóg da, że wszystko znów dobrze będzie.

— Ach, tak — zawołała Basia — i będziemy szczęśliwi, tak bardzo szczęśliwi, kiedy... kiedy Piotruś już wolny! — chciała dodać, ale się wstrzymała, żeby nie powiększać przykrości Jakóbka.

Skoro Piotruś już był wolny, pilno było Basi wyprowadzić brata na ulicę, żeby nareszcie odetchnął czystym, zdrowym powietrzem, by rozejrzał się znowu po świecie Bożym i aby wreszcie podzielić się z nim wszystkimi przebytymi wrażeniami, i nacieszyć tem, że są znów razem, swobodni, wolni i szczęśliwi!

Dziesięć lat minęło od tego czasu. Pani Marya G. nieraz opowiadała swym dzieciom o dzielności Piotrusia i o jego miłutkiej siostrzyczce Basi, których poznała, bo przyszli do niej podziękować za owe dziesięć rubli, nie chcąc ich przyjąć inaczej, tylko jako pożyczkę. Często też zadawała sobie pytanie, co się teraz z niemi dzieje? Czy im życie nie przyniosło samych trosk tylko? Jakimże jednak sposobem dowiedzieć się o tem. Aż pewnego dnia przyniesiono jej z poczty jakąś paczkę; adres na niej był kilka razy zmieniany, widać poczta wędrowała z domu do domu, z ulicy na ulicę, nim wynaleziono terazniejsze mieszkanie pani G., która otworzywszy ją, zobaczyła sztukę cienkiego, ładnego płótna i kartkę z następującymi słowami:

„Szanowna Pani. Może już pani zapomniała o małych wieśniakach, dla których pani kiedyś tak dobrą była; my jednak nie zapomnimy pani nigdy, i dla tego piszemy, donosząc, z czego, jak Basia twierdzi, pani cieszyć się będzie, że pieniądze pożyczone przez panią przyniosły nam szczęście. Bóg nam w pracy błogosławił i jesteśmy teraz tak bogaci, że starczy nam na wszystkie nasze potrzeby; szczęśliwi byliśmy zawsze, nawet w ubóstwie. — Jeśliby kiedykolwiek znalazła się pani w naszych stronach, prosimy nie zapominać o naszej wiosce i odwiedzić nas w naszym domku, gdzie mieszkamy razem z babunią.

Babunia żyje i zna panią z opowiadania. Mamy nadzieję, że pani nie pogardzi płótnem, które Basia sama uprządnęła i utkała dla pani, a jest ona znana jako najrzęczniejsza prządka.

Piotruś i Basia."

Anna Skibniewska.

S Z A R A D A.

od Wróżki Szczęścia dla Hani Ch.

Gdzie śmiech się rozlega tam *pierwsze* brzmi wszędzie,
Sama *druga* zaimkiem wskazującym będzie,
Wszystko ma każda wioska, bo jak to wiesz przecie,
Najskromniejszym mieszkaniem ludzkim jest na świecie.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

od Stasi Lip. dla Dudeczka M.

1	Zastąpić kropki literami, aby litery
. 2	oznaczone liczbami złożyły nazwę
. . 3	wielkiej pustyni. 1) Sędzia izraelski.
. . . 4	2) Morze na północy Europy. 3)
. . . . 5	Inię męskie. 4) Gromada wysp na
. 6	północ Szkocji. 5) Zaslona nad
	łóżkiem 6) Państwo w Europie.

Sylaby: bał—boh—cya—dan—dy—el—ko—ka—mu—or—
ra—sa—tyk—tur—ta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10.

Szurady: Ba — ran — ki.

Łamigłówniki w trójkacie:

P o l o n e z
O b r ę c z
L a n c a
O s e t
N i l
E t
Z

Skrzynka do listów.

Zosi Kr. w Mojówce brakujący dodatek wysłany będzie. Zyczliwość jej dla naszego pisma wielce nam jest miłą, a za serdeczne życzenia, równie serdecznie dziękujemy. Oby i jej w życiu Bóg we wszystkim błogosławił.

Zapewne już Morska Roślina odebrała zaginiony w przesyłce numer. Na listy twe zawsze z przyjemnością odpowiemy, pisuj zatem jak tylko będziesz miała do tego ochotę. Sądząc z próby wierszyka braciszek twój nie jest bez pewnych zdolności w tym kierunku, niech jednak przedewszystkiem pilnie uczy się w szkołach, bo nauka jest podstawą wszystkiego. Łamigłówniki po przejrzeniu, gdy okażą się odpowiednie, zostaną wydrukowane, tymczasem przesyłamy tobie i braciszce szczere pozdrowienia.

Łamigłównika twoja Mańciu S. musi czekać swej kolei; wprawiaj się w wolnych chwilach w układaniu innych, które zawsze do Redakcji nadesłać możesz.

Jeżeli Zygmunt i Maniusia Rein. należą do konkursu kaligrafii, to być może, że sąd przyzna im nagrody, czego im też szczerze życzymy, lecz za rozwiązanie zwykłych łamigłówek Redakcja nie udziela nagród i ci, którym udaje się trafne ich rozwiązanie, znajdują już w tem dostateczne zadowolenie.

Ponieważ Janina M. z Rymarskiej nie prenumeruje Wieczorów wprost z Redakcji, niech się zgłosi po brakujący dodatek tam, skąd pismo odbiera, lub ostatecznie przyśle po niego do naszej Redakcji.

Chętnie uczynilibyśmy zadość prośbie Naturalisty, ale nie znamy sklepu, gdzie życzone okazy minerałów nabyć można; objaśnienia tego udzieli łatwiej profesor, który mu wyklada przyrodę.

Sukienkę przyslaną przez Marynię Otoc. oddaliśmy, wedle jej życzenia, na Kolonie Letnie.

Własnego układu łamigłówniki i szarady oraz dobre rozwiązania nadesłali: Żubr z Puszczy Białowieskiej, Charlemagne, M. Molga, Zygmunt i Maniusia Rein., Żabka z Pawłowoczy, Wiatracy, Romulus, Morska Roślina, Rybitwa z nad Wisły, Micia z Siennej, Mańcia S. Zbyszko, Wanda Liedt, Halina, Jadwiga W. z Konina, Duch Puszczy, Błękitne Oko.

Ponieważ obie książki, które wybrałaś Mewo z nad Bzury są w Redakcji wyczerpane, wysłano ci inne, które zapewne odbierzesz wkrótce. Za ładną kartę ślicznie ci dziękuję.

Masz rację Sarenko Modrooka, że każdy początek trudny, gdy więc tę trudność raz już przemogłaś, pamiętaj darzyć mię jak najczęściej swymi liścikami, byśmy się lepiej poznały i przyjaźń nasza trwała być mogła.

Nie mam tak krótkiej pamięci, o jakąś mię posądzasz kochana Rybitwo z nad Wisły i liścik twój jako od dawnej, dobrej znajomości ucieszył mię szczerze. Karty pocztowe zbieram w dalszym ciągu, a że mam, jako już starsza od ciebie, zapewne liczniejsze stosunki, więc też i moja kolekcja znacznie jest większą od twojej. Możesz liczyć na kartę, po przysłaniu swego adresu której sobie tak życzysz, tymczasem przyjm me pozdrowienia.

Dobrze, że chociaż „obawa przed nudami” skłoniła cię Mi-mozo do napisania pierwszego liściku do mnie, bo odtąd mam nadzieję, będzie ci przyjacielska ta zamiana myśli rozrywką równie miłą, jak dla wielu innych naszych korespondentów. Wesolość twoja i żywość budzą mą sympatyę, ale staraj się poskramiać zbytnią wrażliwość, gdyż to w życiu bynajmniej szczęścia nie daje, nadmierne też czytanie rozbudza imaginację, przytępiając zamiłowanie do poważniejszej pracy naukowej, która powinna pierwsze zajmować miejsce. Wybacz, że tak odrazu szczerze się odzywam i nawet rad udzielać, ale za szczerością twych słów szczerością też odpłacam i niechaj będzie ona zadatkami przyszłej naszej przyjaźni.

Czarna Podkównka nie zapomina, że zbieram karty i obdarza mię przesłaniami, za co, jako też za załączone życzenia serdecznie jej dziękuję.

Pilna praca w obowiązkowej nauce usprawiedliwia cię Boginko, że dopiero teraz zdobyłaś się na liścik, gdy wszakże raz to już uczyniłaś, może znowu kiedy znajdziesz chwilę wolną, a każda twoja odezwa miłą mi będzie. Redakcja obecnie ma tylko książki przeznaczone na premia, żadnych innych nie sprzedaje, lecz pośredniczyć może.

Nic to nie szkodzi Braciszce Rybitwy, że liścik twój napisał ołówkiem, owszem, o wiele przyjemniejszy jest mi taki, niż gdyby był zeszecony plamami atramentowemi, a że literki kreślisz już dość zręcznie, więc nawet zachęcam cię, byś tak samo napisał na konkurs kaligrafii tylko pospiesz się, bo termin nadsyłania jest już bliski. Kajet z obrazkami, który ofiarowałaś wraz z braciszkiem Tolusiem dla biednych dzieci, posłany został do Szpitalika i pewnie niejedną smutną chwilę uprzyjemni tym małym, chorym biedakom. Pozdrawiam cię wraz z Tolusiem serdecznie.

Długie twe milczenie wynagrodziłaś mi sownie, miła Wróżko Leśna, i odrazu mię przejechałaś, szczerym, serdecznym tonem twojego listu. Szczegółowy opis, jak czas spędzasz zajął mię bardzo i myślę, że gdybym maleńkiego siostrzeńca twego Tadzinka poznała, pokochałabym go na równi z tobą, bo niezmiernie lubię dzieci. Że ci w odpowiedziach dłużną nie zostanę, bodaj nie potrzebuje cię zapewniać, zbyt dawno już się znamy. Przy sposobności pozdrów ode mnie Wiochnę i sama nie zapomnij o zaw-sze zyczliwej wam

Jaskółce.